

POWIEŚĆ: NOWELA

ROK XXII

WARSZAWA, DNIA 4 STYCZNIA 1930 ROKU

NR. 1

JÓZEF CONRAD KORZENIOWSKI

PRZEKŁAD ANIELI ZAGÓRSKIEJ

1) JĄDRO CIEMNOŚCI

I.

Jacht krążowniczy *Nellie* obrócił się na kotwicy bez najlżejszego trzepotu żagli i stanął bez ruchu. Przyплыw się skończył, wiatr ucichł prawie zupełnie, a że jacht kierował się w dół rzeki, nie pozostawało nic innego, tylko zatrzymać się i czekać odpływu.

Przymorski obszar Tamizy rozciągał się przed nami, jak początek nieskończonego wodnego szlaku. Morze i niebo w oddali spajały się z sobą bez śladu, a w świetlistej przestrzeni wysuszone na słońcu żagle szkut, dryfujących w górę z przyplywem, zdawały się tkwić spokojnie w kępkach czerwonych, mocno napiętych płócien, błyskając pokostowaniami rejkami. Na niskich brzegach stała mgła, ścieląca się ku morzu coraz cieńszą warstwą. Powietrze było ciemne nad Gravesend, a jeszcze dalej w głąb zdawało się zgęszczać w ponury mrok, skupiony w posępnym bezruchu nad najbardziej rozległym i najpotężniejszym miastem świata.

Naszym kapitanem i gospodarzem był dyrektor różnych towarzystw. Wszyscy czterej spoglądaliśmy ku niemu serdecznie, gdy stał na baku tyłem do nas, patrząc w stronę morza. Na całej rzece nie było ani w części czegoś równie marynarskiego. Przypominał pilota, który dla marynarza jest wcieleniem wiarogodności. Trudno było zdać sobie sprawę, że teren jego pracy nie leży het tam, u świetlanego ujścia rzeki, lecz w górę Tamizy wśród posępnego mroku.

Jednoczyła nas — jak już gdzieś powiedziałem — więź morza. Nietylko że nie pozwalała, abyśmy o sobie zapomnieli w czasie długich okresów rozstania, ale uczyła nas wzajemnej pobłażliwości dla naszych opowiadań — a nawet poglądów. Prawnik — najmilszy z towarzyszy — miał, ze względu na pokąźną ilość lat i cnót, jedyną poduszkę na pokładzie i leżał na jedynej derce. Buchalter wydobyl już pudełko z dominem i zabawiał się ustawianiem domków z kostek. Marlow siedział, skrzyżowawszy nogi, w głębi rufy, oparty o tylny maszt. Miał zapadłe policzki, żółtą cerę, proste plecy, wygląd ascety, a ze swemi obwisłymi ramionami i rękoma leżącymi na kolanach, dłonią ku górze, podobny był do bożka. Dyrektor, upewniwszy się, że kotwica dobrze trzyma, przyszedł na rufę i zasiadł między nami. Zamieniliśmy leniwie kilka słów. Potem zapadło na jachcie milczenie. Dla jakiejś tam przyczyny nie rozpoczęliśmy partji domina. Opanowała nas zaduma i byliśmy zdolni tylko do spokojnego patrzenia przed siebie. Dzień się kończył wśród cichej pogody, wspañiałej, nieskazitelnej. Woda jaśniała spokojnie; nie-

bo, bez żadnej plamki, było dobrotliwym bezmiarem nieskalanego światła; nawet mgły na mokradłach Essexu wyglądały, jak zwiewna, promienista tkanina, która zwisała z lesistych wyniosłości w głębi ładu, układając się na niskich brzegach w fałdy przejrzystej draperji. Tylko ku zachodowi mrok tkwił posępnie nad górnym biegiem rzeki i ściemniał się z każdą minutą, jakby rozgniewany zbliżaniem się słońca.

Wreszcie słońce zsunęło się nisko, opadając nieostrzegalnym ruchem, i od gorejącej białości przeszło w ciemną czerwień bez promieni i bez ciepła, jakby miało nagle zagasnąć, rażone śmiercią przy zetknięciu z owym mrokiem, ścielącym się posępnie nad ciżbą ludzi.

Woda uległa zmianie natychmiast, a pogoda stała się mniej świetną, lecz jakby się pogłębiła. Stara rzeka rozlana szeroko wypoczywała bez ruchu na schyłku dnia — po całych wiekach dzielnej służby u rasy zaludniającej jej brzegi — rozpostarta spokojnie w swej godności wodnego szlaku, wiodącego do najdalszych krańców ziemi. Patrzyliśmy na czcigodną rzekę nie z punktu widzenia krótkiego dnia, który zjawia się i odchodzi na zawsze, ale we wzniosłym świetle trwałych wspomnień. I zaiste, nic łatwiejszego dla ludzi, którzy — jak to się mówi — „poświęcili się morzu“ z szacunkiem i przywiązaniem, niż wywołać wielkiego ducha przeszłości na przymorskim obszarze Tamizy. Przyplyw i odpływ biegną tam i z powrotem w nieustającej służbie, przepięknie wspomnieniami o okrętach i ludziach, których niosły ku domowemu wytchnieniu lub ku walkom na morzach. Prądy te znały wszystkich mężów, którymi szczyli się naród, i służyły im wszystkim, — od Sir Francisa Drake'a do Sir Johna Franklina — rycerzom utytułowanym lub nie — wielkim błędnym rycerzom morza. Prądy te dźwigały wszystkie statki, których imiona są jak drogocenne kamienie, błyszczące w pomroce wieków, od *Złotej Łani* powracającej z łonem pełnym skarbów — statku, co po odwiedzinach Jej Królewskiej Mości znika z gigantycznej opowieści — aż do *Erebu* i *Terroru*, które puściły się na inne podboje — aby nigdy nie wrócić. Prądy te znały i okręty i ludzi. Znały tych, co wypłynęli z Deptford, z Greenwich, z Erith — awanturników i osadników; znały okręty królewskie, i okręty finansistów, kapitanów, admirałów; znały ciemne figury z zakazanego handlu ze wschodem i „generałów“ Wschodnio-Indyjskich flot. Łowcy złota lub łowcy sławy, wszyscy płynęli tą rzeką, dzierżąc miecz a często i pochodnię — wysłannicy potęgi z głębi kraju, niosący iskry świętego ognia. Któż wielkość nie pływ-

nęła z prądem tej rzeki, dążąc ku tajemnicy nieznanym ziem!... Marzenia ludzkie, nasiona rzeczywistości, zarodki cesarstw.

Słońce zaszło; zmierzch padł na rzekę i światła zaczęły się ukazywać wzdłuż brzegu. Latarnia morska Chapmana, stojąca na trzech nogach wśród błotnej ławicy, rzucała silny blask. Okrętowe światła dążyły żeglownym szlakiem — odbywał się wielki ruch światełek w górę i w dół rzeki. A dalej na zachód, nad górnym biegiem, leże potwornego miasta znaczyło się wciąż złowieszczą na niebie — posępna mgła w słońcu, wyblakłym blaskiem pod gwiazdami.

— A i to miejsce — rzekł nagle Marlow — było ongi jednym z mrocznych zakątków ziemi.

On jeden jedyny z pośród nas wciąż jeszcze „służył na morzu”. Najgorszy zarzut, jaki mógł spotkać Marlowa, to ten, że nie był typowym przedstawicielem swego zawodu. Był to marynarz, ale był to również wędrowiec, gdy tymczasem większość marynarzy prowadzi, jeśli można się tak wyrazić, życie osiadłe. Ich usposobienie należy do kategorii domatorskich, a dom ich zawsze jest z nimi — okręt; tak samo jak ich kraj — morze. Jeden okręt jest bardzo podobny do drugiego, a morze zawsze jest jednakowe. Wśród niezmienności otoczenia obce wybrzeża, obce twarze, zmienny ogrom życia, przesuwają się koło nich, przesłonięte bynajmniej nie poczuciem tajemnicy lecz nieco pogardliwą niewiedzą; gdyż niema dla marynarza nic tajemniczego — chyba samo morze, które jest władcą jego istnienia, władcą równie niezbadanym jak los. Co zaś do reszty świata, przypadkowy spacer poza godzinami służby lub przypadkowa pijatyka na wybrzeżu wystarcza, aby odsłonić przed marynarzem tajemnicę całego kontynentu, i marynarz uważa naogół, że tajemnica nie była warta poznania. Opowiadania żeglarzy są proste i bezpośrednie, i zbytkiem sensu nie grzeszą. Lecz Marlow nie był typowym żeglarzem (wyjąwszy jego skłonność do opowiadań) i według niego sens jakiegoś epizodu nie tkwił w środku, jak pestka — lecz otaczał zzewnątrz opowieść, która tylko rzucała na ten sens światło — jak żar oświetla opary — na wzór mglistych aureoli, widzialnych czasem przy widmowym oświetleniu księżyca.

Uwaga Marlowa nie zaskoczyła nas wcale. To było zupełnie w jego stylu. Przyjeliśmy ją w milczeniu. Nikt nie zdobył się nawet na mruknięcie, a on wkrótce zaczął znów mówić, bardzo powoli—

— Mam na myśli bardzo dawne czasy, kiedy Rzymianie przybyli tu po raz pierwszy, tysiąc dziewięćset lat temu — wczoraj... Światło biło później z tej rzeki — wspominaliście o rycerzach? Tak; ale to wszystko jest jak blask przebiegający równiną, jak błyskawica wśród chmur. Żyjemy w tym błysku — oby trwał, póki stara ziemia toczyć się będzie! Ale wczoraj była tu ciemność. Wystawcie sobie uczucia dowódcy pięknej — jak to się nazywało? — tryremy na morzu Śródziemnym, dowódcy odkomenderowanego nagle na północ; przebiega Galję w pośpiechu: powierzą mu jeden z tych statków, które legjoniści — musieli to być cudowni ludzie, i bardzo obrotni — budowali, jak się zdaje, całymi setkami w przeciągu miesiąca lub dwóch, jeśli można wierzyć temu, co się czyta. Wyobraźcie go sobie tam: istny koniec świata, morze barwy ołowiu, niebo barwy dymu, okręt o zawartości *concertina* — a dowódca prowadzi go w górę rzeki, wioząc zapasy, czy rozkazy, czy tam co chcecie. Ławice piasku, bagna, lasy, dzicy ludzie — znikoma ilość pożywienia odpowiedniego dla cywilizowanego człowieka, a do picia nic prócz wody w Ta-

mizie. Falerneńskiego wina ani śladu; wysiadać na brzeg nie można. Tu i tam obóz wojskowy, zagubiony w dziczy jak igła w kopcu siana — zimno, mgła, burze, choroby, wygnanie — i śmierć, śmierć czatująca w powietrzu, w wodzie, w gąszczu. Musieli tam ginąć jak muchy. Ale z pewnością dowódca poprowadził bardzo dobrze tę wyprawę, nawet niewiele o tem myśląc — chyba może później, kiedy się chełpił wszystkim, co przeszedł swojego czasu. Byli to tędzy ludzie, umiejący stawić czoło ciemności. A może takiemu dowódcy dodawała ducha nadzieja, że dostanie się z czasem do floty w Rawennie — jeśli miał w Rzymie przyjaciół i jeśli wytrzymał straszny klimat.

— Albo wyobraźcie sobie, że przyzwoity, młody obywatel w todze — może cokolwiek za gorliwie uprawiający grę w kości — zjawia się tutaj w świecie jakiegoś prefekta, albo poborcy podatków, albo wreszcie kupca — by los swój poprawić. Łąduje na trzęsawisku, maszeruje przez lasy, i osiadłszy na jakiejś placówce w głębi łądu, czuje, że, dzicz, ostateczna dzicz zamknęła się wkoło niego — tajemnicze życie dziczy, które tętni w lesie, w dżungli, w sercach dzikich ludzi. Niema wtajemniczenia w takie misterja. Nasz obywatel musi żyć wpośród niepojętego, które jest także obrzydłem. A jednocześnie to niepojęte ma czar, który zaczyna na niego działać. Czar ohydy, rozumiecie? Wyobraźcie sobie rosnący w tym człowieku żal, tęsknotę do ucieczki, bezsilny wstręt, poddanie się, nienawiść.

Zamilkł.

— Pamiętajcie — zaczął znów i, siedząc wciąż ze skrzyżowanymi nogami, podniósł rękę obróconą dłońią nazewnątrz — zupełnie jak Budda nauczający w europejskim ubraniu i bez lotosa — pamiętajcie, że żaden z nas nie czułby zupełnie taksamo. Rатуje nas wiara w skuteczność naszej pracy — poświęcenie się dla niej. Ale tamci ludzie nie przedstawiali doprawdy nic nadzwyczajnego. Kolonistami nie byli; podejrzewam, że ich administracja nie różniła się niczem od ucisku. Byli zdobywcami, do tego zaś potrzeba tylko bezmyślnej siły — a kiedy się ją posiada, niema się czem szczycić, ponieważ siła ta jest prosto przypadkiem i wypływa ze słabości innych. Zagarniali co mogli — z prostej chciwości. Była to prosto kradzież z włamaniem, masowe morderstwo na wielką skalę, a ludzie rzucali się w to naoslep — jak przystoi tym, którzy napastują mrok. Zdobywanie ziemi — polegające przeważnie na tem, że się ją odbiera ludziom o odmiennej cerze lub trochę bardziej płaskich nosach — nie jest rzeczą piękną, jeśli się w nią wejrzy zbyt blisko. Odkupia ją tylko idea tkwiąca w głębi; nie sentymentalny pozór, tylko idea; i altruistyczna wiara w tę ideę — coś, co można wyznawać i bić przed tem pokłony, i składać ofiary...

Urwał. Płomyki ślizgały się po rzece: małe zielone płomyki, czerwone płomyki, białe płomyki, które się ścigały nawzajem, dopędzały, łączyły, krzyżowały — aby się rozstać śpiesznie lub powoli. Handel wielkiego miasta trwał wśród gęstniejącego mroku na bezsennej rzece. Przypatrywaliśmy się, czekając cierpliwie — nic innego nie można było robić aż do końca przyptywu; lecz dopiero po dłuższym milczeniu Marlow rzekł wahająco: „Pamiętacie pewno, koledzy, że byłem czas jakiś marynarzem na słodkich wodach” — i wówczas wiedzieliśmy już, że jest nam sądzone — zanim odpływ się zacznie — wysłuchać jednej z rozlicznych przygód Marlowa, nie doprowadzających do żadnej konkluzji.

— Nie chcę nudzić was długo tem, co spotkało

mnie samego — zaczął, zdradzając tą uwagą słabość właściwą wielu gawędziarzom, którzy tak często zdają się nie wiedzieć, co ich słuchaczy najbardziej interesuje — lecz aby zrozumieć wpływ, jaki to na mnie wywarło, musicie wiedzieć, jak się tam znalazłem, co zobaczyłem, jak popłynęłem w górę rzeki aż do miejsca, gdzie spotkałem się po raz pierwszy z tym nieborakiem. Był to najdalszy punkt mojej wyprawy i kulminacyjny punkt moich przeżyć. Rzucił jak gdyby pewien rodzaj światła na wszystko, co mnie otaczało — i na moje myśli. To oświetlenie było dość ponure — i żalosne — i wcale nie nadzwyczajne — i niebardzo jasne bynajmniej. Nie, nie było bardzo jasne. A jednak zdaje mi się, że rzuciło pewnego rodzaju światło.

— Powróciłem wówczas, jak pamiętacie, do Londynu po dłuższej żegludze na oceanie Indyjskim, Spokojnym, na morzach Chińskich — po porządnej porcji wschodu — a trwało to około sześciu lat. Wałęsałem się tu i ówdzie, przeszkadzając kolegom w pracy i nadchodząc wasze domy, zupełnie jakby mi niebo poruczyło misję, aby was cywilizować. Przez pewien czas bardzo to było przyjemne, ale wkrótce zmęczyłem się wypoczynkiem. Wówczas zacząłem rozglądać się za okrętem — co jest chyba najcięższą pracą na świecie. Ale okręty nie chciały nawet na mnie patrzeć. I ta zabawa zmęczyła mnie również.

— Otóż — kiedy byłem małym chłopczykiem, miałem namiętność do map. Wpatrywałem się godzinami w południową Amerykę, lub Afrykę, lub Australję, pograżając się we wspaniałościach odkrywczych podróży. W owych czasach było jeszcze wiele pustych miejsc na ziemi, a jeśli które z nich wydawało mi się na mapie szczególnie ponętne (ale one wszystkie tak wyglądają), kładłem nań palec i mówiłem: „Pojadę tam, jak dorosnę”. Pamiętam, że biegun północny należał do tych miejsc. No, nie zjechałem tam jeszcze, a teraz już próbować nie będę. Czar prysł. Inne znów miejsca były rozsypane w okolicach równika i po wszelkich szerokościach geograficznych obu półkul. Zwiedziłem już niektóre z tych miejsc i ...no, nie będziemy o tem mówić. Ale było tam jeszcze jedno — największe, najbardziej puste — że tak powiem — do którego ciągnęło mnie najsilniej.

— Prawda, że w owej chwili miejsce to nie było już puste. Od czasów mego dzieciństwa wypełniły je rzeki, i jeziora, i nazwy. Przestało być próżną przestrzenią pełną rozkosznej tajemnicy — białą plamą, budzącą w chłopcu wspaniałe marzenia. Przeobraziło się w miejsce, gdzie panuje mrok. Ale była tam przedewszystkiem jedna rzeka, wielka, potężna rzeka, którą się oglądało na mapie, podobną do olbrzymiego, wyciągniętego węża, ze łbem w morzu, z ciałem wijącym się poprzez rozległą krainę, z ogonem zagubionym w głębi lądu. A gdy przyglądałem się mapie przez okno sklepowej wystawy, przykuwała mię ta rzeka, jak wąż przykuwa wzrokiem ptaszka — niemądrego, małego ptaszka.

Przypomniałem sobie, że istnieje wielkie towarzystwo, spółka dla handlu na tej rzece. Do licha! Przyszło mi na myśl, że przecież nie mogą prowadzić handlu bez posługiwania się jakimiś statkami na tej ogromnej wodnej przestrzeni — bez parowców! Dlaczego bym nie miał się postarać o dowództwo na którym z nich? Szedłem dalej przez Fleet Street, ale nie mogłem się otrząsnąć z tych myśli. Wąż mnie oczarował.

— To handlowe towarzystwo było spółką kontynentalną; ale mam mnóstwo krewnych na konty-

nencie, ponieważ — jak mówią — taniej tam i wcale nie tak nieprzyjemnie, jakby się zdawało.

— Przykro mi, ale wyznam, że zacząłem tych krewnych nudzić. Już to samo było dla mnie czemś zupełnie nowem. Rozumiecie, nie miałem zwyczaju w taki sposób brać się do rzeczy. Szedłem zawsze swoją własną drogą, na własnych nogach, tam, dokąd miałem ochotę. Nie byłbym uwierzył, że jestem zdolny do czegoś podobnego; tylko że — widzicie — jakoś czułem, że muszę się tam dostać — tak czy inaczej. Więc ich zanudzałem. Mężczyźni mówili: „Mój drogi” — i nic nie robili. Wówczas — czy uwierzycie? — wziąłem się do kobiet. Ja, Charlie Marlow, zaprząłem do roboty kobiety — aby dostać zajęcie. Słowo daję! No, zrozumcie — prześladowała mnie ta myśl. Miałem ciotkę, złą, entuzjastyczną duszę. Napisała mi: „To będzie cudowne. Gotowam zrobić dla ciebie wszystko, wszystko. Myśl jest wspaniała. Znam żonę jednego z członków administracji, stojącego bardzo wysoko; znam także człowieka, który ma wielkie wpływy” — itd. itd. Postanowiła póty suszyć głowę ludziom, póki mnie nie mianują kapitanem rzeczno-parowca — ponieważ taką jest moja fantazja.

Dostałem nominację, oczywiście; i dostałem ją bardzo prędko. Zdaje się, że towarzystwo dowiedziało się o śmierci jednego z kapitanów, który został zabity w bójce z krajowcami. To było moje szczęście, i tembardziej zachciało mi się jechać. Dopiero w długie miesiące potem, gdy usiłowałem odzyskać ciało owego kapitana, dowiedziałem się, że źródłem kłótni było nieporozumienie co do kur. Tak, dwóch czarnych kur. Fresleven — tak się ów człowiek nazywał — Duńczyk — uważał, że go pokrzywdzono przy kupnie, wysiadł więc na ląd i zaczął okładać laską naczelnika wsi. Ach, nie zdziwiłem się wcale, gdy mi to opowiadali, zaznaczając równocześnie, że Fresleven był najłagodniejszą, najspokojniejszą istotą pod słońcem. Było tak z pewnością; ale rozumiecie, że znajdował się tam już od paru lat, służąc wzniosłej idei, i prawdopodobnie uczuł nareszcie potrzebę stwierdzenia w jakikolwiek sposób szacunku dla siebie samego. Dlatego też łupił bez litości starego murzyna; naokoło nich gapił się tłum skamieniałych ze zdziwienia krajowców, aż wreszcie jakiś człowiek — podobno syn naczelnika — słysząc z rozpaczą wrzaski starca, rzucił w białego włócznią dla próby — i oczywiście włócznia uwięzła z łatwością między łopatkami. Potem cała ludność uciekła do lasu w oczekiwaniu wszelkich możliwych klesk, a z drugiej strony parowiec dowodzony przez Freslevena odplynął również w wielkim popłochu, pod komendą maszynisty, o ile sobie przypominam. Później nikt już nie zdawał się troszczyć o szczątki Freslevena, póki się tam nie znalazłem jako jego następcę. Nie mogłem tej sprawy poniechać, ale gdy wreszcie nastreczyła mi się sposobność zetknięcia z moim poprzednikiem, trawa rosnąca między jego żebrami dość była wysoka, aby zasłonić kości. Zostały wszystkie na miejscu. Nikt nie dotknął nadnaturalnej istoty leżącej na ziemi. Wieś opustoszała, chaty stały otworem czarne, butwiejące, krzywe wśród rozwalonych płotów. Klęska doprawdy spadła na wieś. Ludność zniknęła. Obląkany strach rozproszył wszystkich — mężczyzn, kobiety i dzieci; zaszyli się w gąszcz i nie wrócili już nigdy. Nie wiem doprawdy, co się stało z kurami. Przypuszczam, że sprawa postępu pozyskała je jakoś dla siebie. Tak czy owak naskutek tej sławnej afery dostałem nominację, nim się jeszcze zacząłem jej prawdziwie spodziewać.

(D. c. n.).

POD MELODJE CHOPIN'A

I

Po klawiszach ręka twoja płynie,
Pieśń zawodzi, skarży się i śpiewa,
I tęsknoty morze się rozlewa
O szarej godzinie.

Wniebowziętą duszą rozmodlony,
W zaświatowej błędzie gdzieś krainie,
Ale słyszę te pogrzebne tony
O szarej godzinie.

II

Czy przypomnisz to nokturno,
Grane w senny zmrok wiosniany,
Kiedy zapach wiał różany
W duszę chmurną?

Czy przypomnisz tony owe,
Powłóczył, jakby cienie,
Kiedys kładła ócz promienie
Na mą głowę?

I urwała się piosenka,
I drgnął płaczem ton w piosence,
I spoczęła w mojej ręce
Twoja ręka.

Była wiosna z kwiatów pękiem,
Idzie jesień boleściwa,
I miłości pieśń się zrywa
Z serca jękiem...

III

Jak mazurek zuchowaty,
Stary las nam grał,
Tys szła cicho; w ręku kwiaty,
Kwiat w warkoczu drzał.

Tys szła cicho, uśmiechniona,
Zapatrzona w dal,
Tam za lasem słońce kona,
Wśród niebieskich fal.

Tam za lasem, gdzie przed nami
Płonie złota jaśń,
Za górami, za morzami,
Mieszka szczęścia baśń.

Tam my biegli w serc połodze
Do tęczyowych bram,
I nie doszli... i po drodze
Kwiaty zwiędły nam...

IV

Och, walc ten znajomy znowu nam gra
Na pustem życia polu;
Czy znajdzie się jeszcze w źrenicach łza?
Czy serce drgnie od bolu?

Żar w oczach, a piołun na ustach mam,
Mrze blask ostatni słońka,
Och, znam tę melodię, dobrze ją znam,
Na imię jej: rozłaka!

Precz z serca róż kwiaty! nie wolno wam
[rość!

Oczy, nie dla was słońce!
Uciszcie się, dźwięki! już dość! już dość!
Już pęka serce drzące!

Gdzie spojrzeć dokoła: pustka i mgła,
I żal i ból po wiosnie,
A walc ten znajomy ciągle nam gra,
Tak strasznie, bezlitośnie!...

V

O, błogostawiona
Pieśni ukojenia,
Znowu ciebie słyszę
Z lazurów stref!
Rozpacz w piersiach kona,
W ciszy się zamienia,
W tak anielską ciszę,
Jak ten cudny śpiew.

Na zakłęcie twoje
Mary zwątpień giną,
Z chmury gwiazda świeci,
Smętnej duszy druch;
I natchnienia zdroje
Znowu z serca płyną,
I w lazury leci
Uskrzydłony duch...

VI

Na klawiszach ręka twoja spoczywa,
A melodia, zda się, jeszcze płynie
I rozpięchłe znów wiąże ogniwa
O szarej godzinie.

Księżycowe lśnią przez okno smugi,
Po twojej twarzy łza srebrna się winie...
Wiosnę życia przeżyłem raz drugi
O szarej godzinie...